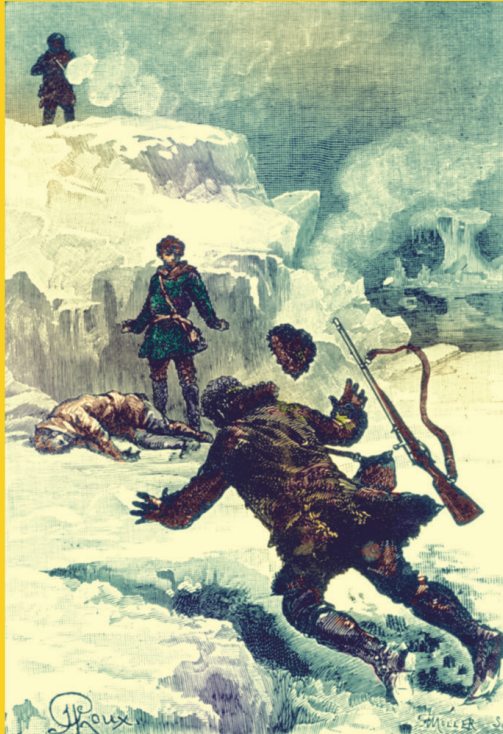




# Juliusz Verne

## Rozbitek z „Cynthii”



ISBN 978-83-66980-87-7





**Juliusz Verne, André Laurie**  
**ROZBITEK Z „CYNTHII”**



# Juliusz Verne André Laurie



## ROZBITEK Z „CYNTHII”

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sto dwudziesta druga publikacja elektroniczna  
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:

*L'épave du Cynthia*

© Copyright for the Polish translation  
by Janusz Pultyn, 2023

25 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych: George  
Roux; (zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk  
Konwersja do formatów cyfrowych: Andrzej Zydorczak

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:  
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

**Wydanie I**

**© Wydawca: JAMAKASZ**

Ruda Śląska 2023

ISBN 978-83-66980-87-7

## Wstęp

*Rozbitek z „Cynthii”* to pierwsza i jedyna powieść tandemu Verne–Laurie, w której ten drugi autor figuruje na okładce. W dwóch poprzednich (*Pięćset milionów begum* i *Gwiazda Południa*) został pominięty, między innymi dlatego, że wkład Juliusza Verne’a w ich opracowanie, na podstawie wyjściowego materiału dostarczonego przez Andrégo Laurie, był znaczny. Natomiast w przypadku ich trzeciej wspólnej książki *Czarodziej z Nantes* ograniczył się jedynie do jej gruntownego przeredagowania.

Powieść w duchu *Przygód kapitana Hatterasa*, której ostatnie szlify nadał autor „Niezwykłych Podróży”, napisał młodszy o szesnaście lat były komunard, zesłaniec, pisarz, tłumacz i dziennikarz Paschal Grousset (1844-1909). Używał on wielu pseudonimów, a André Laurie był jednym z nich. Z Juliuszem Verne’em poznał się dzięki Jules’owi Hetzelowi, w którego wydawnictwie publikował swe utwory, gdy po ucieczce z katorgi w Nowej Kaledonii osiadł w Londynie.

Niewielkie objętościowo dzieło Lauriego i Verne’a drukowane było w odcinkach na łamach „Magasin d’Éducation et Récréation” od 1 stycznia do 15 listopada 1885 roku i zaraz po zakończeniu serialu prasowego trafiło do rąk czytelników w formie książki, ozdobionej ilustracjami George’a Roux. Tom ten nie zaliczał się do serii „Niezwykłe Podróże”.

Po polsku *Rozbitek z „Cynthii”* ukazał się do tej pory dwa razy. Co ciekawe oba wydania, choć w różnych przekładach, pojawiły się równolegle w tym samym 1990 r. Tłumaczenie



Aleksandry Mańki-Chmury wyszło w Wydawnictwie „Śląsk”,  
zaś Izabelli Rogozińskiej w warszawskiej Spółce Wydawni-  
czo-Księgarskiej.

dr Krzysztof Czubaszek  
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



## Rozdział I

### Przyjaciel pana Malariusza

**A**ni w Europie, ani nigdzie indziej nie ma przypuszczalnie uczonnego, którego oblicze byłoby bardziej znane publicznie aniżeli twarz doktora Schwaryencrony<sup>1</sup> ze Sztokholmu; jego portret, drukowany przez sprzedawców, widnieje pod znakiem fabrycznym należącego doń przedsiębiorstwa na milionach butelek zamkniętych zielonym lakiem i docierających do najdalszych krańców globu.

Prawdopodobność każe napisać, że te butelki zawierają wyłącznie olej z wątroby dorsza, ceniony, a nawet dobroczynny lek, przynoszący mieszkańcom Norwegii każdego roku zysk w kwocie mającej od

---

<sup>1</sup> *Schwaryencrona* – być może przekreślona pisownia szwedzkiego słowa *Sverigekrona*, korona szwedzka.

siedmiu do ośmiu cyfr, podawanej w *kroner*<sup>1</sup>, czyli „koronach”, z których każda odpowiada wartości jednego franka<sup>2</sup> trzydziestu dziewięciu centymów.

Dawniej wytwarzaniem oleju zajmowali się rybacy. Dziś sposoby jego pozyskiwania są bardziej naukowe, a księciem tej szczególnej branży jest właśnie doktor Schwaryencrona.

Nie ma nikogo, kto nie rozpoznałby tej spiczastej brody, tej pary okularów, tego haczykowatego nosa i tej czapki ze skóry wydry. *Grawiura*<sup>3</sup> portretu może i nie jest najlepsza, ale na pewno cechuje ją uderzające podobieństwo do doktora. Dowodem tego jest wydarzenie, do jakiego doszło pewnego dnia w szkole podstawowej w *Noroë*<sup>4</sup> na zachodnim wybrzeżu Norwegii, kilka *lig*<sup>5</sup> od *Bergen*<sup>6</sup>.

Właśnie wybiła godzina druga po południu. Uczniowie w dużej klasie z pokrytą piaskiem podłogą – dziewczynki siedziały po lewej stronie, a chłopcy po prawej – śledzili na czarnej tablicy wywody pewnej teorii przedstawianej im przez nauczyciela, pana *Malariusza*, gdy nagle drzwi się otworzyły i na progu ukazała się futrzana *pelisa*<sup>7</sup>, futrzane buty, futrzane rękawiczki oraz czapka ze skóry wydry.

Uczniowie natychmiast wstali z szacunkiem, jak nakazuje grzeczność, gdy do klasy wchodzi gość. Żaden z nich nigdy wcześniej nie spotkał przybysza. Wszyscy jednak szeptali, gdy tylko go zobaczyli:

---

<sup>1</sup> *Kroner* (szwedzki, norweski) – u J. Verne’a *kroners* (-er to końcówka liczby mnogiej w języku szwedzkim, jak -s we francuskim), jednostka monetarna obowiązująca w Szwecji, Norwegii i Danii od roku 1875, po zawiązaniu przez te państwa Skandynawskiej Unii Monetarnej.

<sup>2</sup> *Frank* – jednostka monetarna Francji używana w latach 1795-1999, dzielił się na 100 centymów.

<sup>3</sup> *Grawiura* – rycina odbita z płyty metalowej.

<sup>4</sup> *Noroë* – nie ma takiej miejscowości w okolicach *Bergen*, może chodzi o *Nordvik*, małą osadę leżącą 15 km na południe od *Bergen*, nad *Lysefjorden*, ze szkołą istniejącą od roku 1750, albo o osadę *Nordås*, 7 km na południe od *Bergen*, nad fiordem *Nordåsvannet*, ze szkołą *Søråshøgda*.

<sup>5</sup> *Liga* (fr. *lieue*) – dawna francuska miara odległości, po wprowadzeniu miar metrycznych uznana za odpowiednik 4 km.

<sup>6</sup> *Bergen* – miasto w południowo-zachodniej Norwegii, nad Morzem Norweskim, do połowy XIX wieku główny port i ośrodek miejski Norwegii, od roku 1217 stolica, obecnie drugie pod względem wielkości miasto Norwegii.

<sup>7</sup> *Pelisa* – dawniej nazwa zimowego płaszcza podbitego futrem, głównie damskiego.

– Pan doktor Schwaryencrona!

Tak wielkie było jego podobieństwo do portretu wrytego na butelkach!

Trzeba powiedzieć, że owe butelki mniej lub bardziej stale tkwiły przed oczami uczniów pana Malariusza, a to dlatego, że jedna z głównych fabryk doktora znajdowała się właśnie w Noroë. Prawdą jest jednak i to, że już od wielu lat ten uczony człowiek nie postawił nogi w okolicy, a zatem żadne z dzieci przed tym dniem nie mogło się pochwalić, iż widziało go jako osobę z krwi i kości.

Czymś zupełnie innym była wyobraźnia. O doktorze Schwaryencronie dużo mówiono w Noroë podczas wieczornych pogawędek. Uszy muszą go często piec, jeżeli ludowy przesąd ma w tym przypadku choćby najmniejsze uzasadnienie.

W każdym razie ta powszechna i natychmiastowa rozpoznawalność oznaczała rzeczywisty triumf nieznanego autora portretu, triumf, którym ten skromny artysta miał pełne prawo się chlubić i którego mógłby mu zazdrościć niejeden modny fotograf.

Tak, były tam bez cienia wątpliwości spiczasta broda, para okularów, haczykowaty nos i czapka ze skóry wydry należące do słynnego uczonego. Niemożliwy był jakikolwiek błąd czy pomylenie go z kimś. Wszyscy uczniowie pana Malariusza włożyliby za to ręce do ognia.

Zaskoczyło ich, a nawet nieco rozczarowało spostrzeżenie, że doktor był człowiekiem o rozmiarach często spotykanych, przeciętnych, a nie olbrzymem, jak raczej go sobie wyobrażali. Czyż tak znakomity naukowiec mógł się zadowolić wzrostem wynoszącym pięć stóp i trzy cale<sup>1</sup>? Jego szpakowata głowa ledwo sięgała do ramienia pana Malariusza, a przecież wiek pochylił już nauczyciela. Pan Malariusz był wszakże znacznie chudszy od lekarza, przez co sprawiał wrażenie dwakroć wyższego. Luźny brązowy płaszcz, który od długiego noszenia nabrał zielonkawego odcienia, powiewał na nim niby flaga na maszcie. Nosił krótkie bryczesy i buty zapinane na sprzączki, a spod czarnej jedwab-

---

<sup>1</sup> Stopy i cale to dawne miary długości, stosowane przed wprowadzeniem systemu metrycznego w 1795, używane także później; jedna stopa francuska wynosiła 0,3248 m, a jeden cal 27,1 mm, czyli doktor miał ok. 170,5 cm wzrostu.

nej czapki wystawało mu kilka kosmyków siwych włosów. Z jego różowej i uśmiechniętej twarzy biła niezmierna łagodność. Także i on nosił okulary, lecz wzrok nie przeszywał przez nie jak u doktora, a niebieskie oczy zdawały się przyglądać wszystkim z nieskończoną życzliwością.

Żaden z uczniów nie pamiętał, aby pan Malarius kiedykolwiek go ukarał. Nie wynikało stąd jednak, że go nie szanowali, był na to zbyt mocno kochany. Miał niezwykle dobre serce, i wszyscy go z tego doskonale znali! W Noroë wiedziano powszechnie, że w młodości zdał błyskotliwie różne egzaminy i że mógłby osiągać także kolejne stopnie naukowe, stać się osobą nazywaną *herr professor* na wielkim uniwersytecie, zdobywać zaszczyty i majątek. Miał jednak siostrę, biedną Kristinę, nieustannie chorującą i cierpiącą, a ponieważ za nic w świecie nie chciałyby opuścić swojej wsi, ponieważ bała się miasta i lękała się, że w nim umrze, pan Malarius bardzo spokojnie złożył siebie w ofierze. Objął ciężkie i skromne obowiązki nauczyciela w szkole. Kiedy zaś po dwudziestu latach Kristina odeszła, błogosławiąc go, pan Malarius, przyzwyczajony do swojego nieznanego nikomu życia, nie pomyślał nawet o rozpoczęciu innego. Pochłonięty swoją pracą, nie pamiętając, aby jej owocami dzielić się ze światem, niezmierną przyjemność czerpał z bycia wzorowym nauczycielem, z uczenia w najlepiej prowadzonej szkole w kraju, a zwłaszcza z wykraczania poza program edukacji podstawowej, aby udzielać lekcji na poziomie znacznie wyższym. Uwielbiał zachęcać swoich najlepszych uczniów do zdobywania wiedzy, wtajemniczać ich w nauki ścisłe, w literaturę starożytną i współczesną, w to wszystko, co zwykle jest przywilejem klasy ludzi bogatych lub zamożnych, a nie rybaków i chłopów.

„Dlaczego to, co jest dobre dla jednych, nie ma być dobre i dla innych? Biedni ludzie nie cieszą się wszystkimi radościami tego padołu łez, ale dlaczego należy odmawiać im tych płynących ze znajomości Homera i Szekspira, z poznawania nazwy gwiazdy, która prowadzi ich przez oceany albo rośliny, po której stąpają na ziemi! Bardzo wczesnie rozpoczynana praca ściśnie ich za gardło i przygniecie do bruzd roli! Niech przynajmniej w dzieciństwie napiją się z tych czystych źródeł i wezmą udział we wspólnym dziedzictwie ludzkości!”

W niejednym kraju taki pogląd zostałby uznany za nierozważny, mogący obrzydzić maluczkim skromność ich losu i zachęcić do awanturnictwa. Lecz w Norwegii nikt nawet nie myśli żywić takich trosk. Patriarchalna łagodność charakterów, oddalenie od miast, pracowitość bardzo nielicznej ludności zdają się usuwać wszelkie niebezpieczeństwa płynące z tego rodzaju praktyk. Stąd też dochodzi do nich częściej, niż mogłoby się wydawać. Nigdzie indziej nie są one równie daleko idące, tak w najbiedniejszych szkołach wiejskich, jak i w średnich. Półwysep Skandynawski może właśnie dlatego szczycić się tym, że edukacja daje na nim, proporcjonalnie do liczby ludności, więcej uczonych i wybitnych ludzi wszelkiego rodzaju aniżeli jakakolwiek inna część Europy. Podróżujących po nim nieustannie uderza kontrast pomiędzy na wpół dziką przyrodą a fabrykami i dziełami sztuki, które wskazują na cywilizację wielce wyrafinowaną.

Ale może już czas, aby powrócić do doktora Schwaryencrony, którego zostawiliśmy na progu szkoły w Noroë.

Uczniowie szybko go rozpoznali, choć nigdy nie widzieli go na żywo, lecz inaczej było z ich nauczycielem, chociaż gościa znał od dawna.

– Dzień dobry, mój drogi Malariusie! – zawołał doktor serdecznie, zbliżając się z wyciągniętą dłonią do prowadzącego szkołę.

– Witam szanownego pana – odpowiedział nauczyciel, lekko oszołomiony, trochę onieśmielony, jak wszyscy samotnicy, i zaskoczony w połowie prowadzonego wywodu... – Proszę mi wybaczyć, że zapytam, kogo mam zaszczyt...?

– Co takiego?! Czyżbym się aż tak mocno zmienił od czasów, kiedy biegaliśmy razem po śniegu i paliliśmy w Christianii<sup>1</sup> bardzo długie fajki? Czyżbyś zapomniał o bursie Kraussa i czy naprawdę muszę przywoływać, że byłem twoim towarzyszem i przyjacielem?

– Schwaryencrona...! – zawołał pan Malarius. – Czy to możliwe? To rzeczywiście ty...? Czy to pan, doktorze?

– Och, proszę cię, dość tych ceregieli...! Czyż nie jestem twoim starym Roffem, jak ty zawsze będziesz moim dzielnym Olafem, naj-

---

<sup>1</sup> *Christiania* – w latach 1674-1877 nazwa Oslo, stolicy Norwegii, na cześć króla Danii Chrystiana IV, w latach 1877-1924 nazwę tę zapisywano „Kristiania”.

lepszym, najmiłszym przyjacielem, jakiego miałem w młodości? Tak, wiem dobrze, że czas leci i przez trzydzieści lat obaj troszeczkę się zmieniliśmy...! Ale serca nadal mamy młode, prawda? Czy nie znajdzie się w nim zawsze odrobina miejsca dla tych, których nauczyliśmy się kochać, gdy mając po dwadzieścia lat przy jednym stole jedliśmy suchy chleb?

Doktor roześmiał się przy tym i ścisnął obie dłonie pana Malariusza, który ze swej strony miał oczy wilgotne od łez.

– Drogi przyjacielu, mój dobry, doskonały doktorze! Nie zostaniemy tu. Dam wolne tym wszystkim łobuzom, którzy z pewnością nie będą się o to gniewać, i pójdziemy do mojego domu...

– Skądże znowu – sprzeciwił się doktor i obrócił się do uczniów, którzy z wielką ciekawością śledzili szczegóły tej sceny. – Nie powinienem ani przeszkadzać ci w pracy, ani zakłócać toku nauki tej znakomitej młodzieży...! Jeśli chcesz sprawić mi wielką przyjemność, to pozwól, że usiądę tu obok ciebie, a ty wrócisz do lekcji...

– Chętnie – zgodził się pan Malariusz – lecz, prawdę mówiąc, trudno mi będzie mieć znowu zapał do wykładania geometrii, a jeszcze skoro dałem już wolne tymi dzieciom, sumienie nie pozwala mi cofnąć danego słowa...! Można jednak wybrnąć z tego w inny sposób. Polega on na tym, że doktor Schwaryencrona raczy uczynić zaszczyt moim uczniom i będzie ich przepytawał z tego, czego się nauczyli, a potem pozwoli im pomknąć do domu...!

– Doskonały pomysł...! Zgoda...! Oto stałem się wizytatorem! – rzekł doktor, po czym usiadłszy na krześle nauczyciela i odwróciwszy się do całej klasy, zapytał: – Powiedźcie, kto tu jest najlepszym uczniem.

– Erik Hersebom! – odpowiedziało mu bez wahania jakieś pięćdziesiąt młodzieńczych głosów.

– Aha, Erik Hersebom...? No dobrze, Eriku Hersebom, czy możesz tu podejść?

W pierwszej ławce wstał chłopiec mający około dwunastu lat i podszedł do biurka na podwyższeniu. Był dzieckiem poważnym i skupionym, którego myśląca twarz i duże oczy o głębokimi spojrzeniu wszędzie zwracałyby uwagę, lecz szczególnie przyciągały wzrok po-



– Od czego zaczniemy? Może od gramatyki? – zapytał chłopca.





śród otaczających go jasnowłosych główek. Podczas gdy wszyscy koledzy i koleżanki chłopca mieli włosy barwy lnu, różowe cery, a oczy zielone lub niebieskie, on miał włosy ciemnobrązowe, tak samo jak oczy, a skórę twarzy śniadą. Nie miał wydatnych kości policzkowych, krótkiego nosa ani potężnej budowy ciała dzieci ze Skandynawii. Mówiąc krótko, odróżniał się wyglądem od owej jakże odrębnej i jak wyraźnie rozpoznawalnej rasy, do której należeli jego szkolni koledzy.

Podobnie jak oni nosił ubranie z prostego wiejskiego sukna, na modłę chłopów z prowincji Bergen, ale szlachetność, delikatność jego głowy, noszonej na smukłej i eleganckiej szyi, wrodzony wdzięk ruchów i postawy razem wzięte wskazywały na jakby obce pochodzenie. Te osobliwe cechy musiałyby od razu zauważyć każdy fizjolog, podobnie jak spostrzegł je doktor Schwaryencrona. Teraz jednak nie miał powodu, by się nad nimi rozwodzić. Dlatego przystąpił jedynie do pełnienia przyjętych obowiązków egzaminatora.

– Od czego zaczniemy? Może od gramatyki? – zapytał chłopca.

– Słucham pilnie pana doktora – odpowiedział skromnie Erik.

Doktor zadał mu dwa bardzo proste pytania i z zaskoczeniem wysłuchał prawidłowej odpowiedzi dotyczącej nie tylko języka szwedzkiego, ale także francuskiego i angielskiego. Wynikało to ze zwyczaju wpojonego uczniom przez pana Malariususa, który twierdził, że nauka trzech języków naraz jest niemal tak samo łatwa jak jednego.

– Czyli uczysz ich francuskiego i angielskiego? – zapytał doktor swojego przyjaciela.

– Dlaczego by nie, i jeszcze z elementami greki i łaciny... Nie dostrzegam krzywdy, jaką może im to wyrządzić.

– Ja także nie – odparł ze śmiechem doktor.

I otworzył na chybił trafił tom Cyceron<sup>1</sup>, z którego Erik Hersebom bardzo dobrze przetłumaczył niektóre zdania.

Fragment ten dotyczył cykuty<sup>2</sup> wypitej przez Sokratesa. Pan Malariusus poprosił doktora, aby zapytał, do jakiej rodziny należy ta roślina.

---

<sup>1</sup> Marek Tuliusz *Cyceron* (106-43 p.n.e.) – polityk, pisarz i najwybitniejszy mówca rzymski, jeden z mistrzów klasycznej łaciny.

<sup>2</sup> *Cykuta* – trucizna używana głównie w starożytności, otrzymywana z różnych roślin, najczęściej szaleju jadowitego i szczwołu plamistego, porażająca układ oddechowy,

Erik bez chwili wahania oświadczył, że do rodziny baldaszkowatych<sup>1</sup>, podrodziny *Apioidaea*<sup>2</sup>, i podał wszystkie cechy charakterystyczne tej rośliny.

Po botanice nastąpiło przejście do geometrii. Posługując się wyrażeniami naukowymi, Erik bardzo dobrze przedstawił twierdzenie dotyczące sumy kątów trójkąta.

Doktor popadał w coraz to większe zdumienie.

– Porozmawiajmy trochę o geografii – ciągnął przepytywanie. – Jakie morze graniczy od północy ze Skandynawią, Rosją i Syberią?

– Arktyczny Ocean Lodowaty.

– A jak nazywają się morza, z którymi ten ocean ma połączenie?

– Atlantyk na zachodzie i Pacyfik na wschodzie.

– Czy zechciałbyś wymienić dwa lub trzy ważne porty leżące nad Pacyfikiem?

– Wymienię Jokohamę w Japonii, Melbourne w Australii, San Francisco w stanie Kalifornia.

– No dobrze, ponieważ Ocean Lodowaty ma połączenie z jednej strony z Atlantykiem, który obmywa nasze wybrzeża, a z drugiej z Pacyfikiem, to czy nie uważasz, że najkrótsza droga do Jokohamy czy San Francisco wiedzie właśnie przez to arktyczne morze?

– Z pewnością, proszę pana – odpowiedział Erik – ta droga byłaby najkrótsza, gdyby tylko była dostępna. Dotychczas wszakże wszystkich żeglarzy, którzy próbowali podążać tym szlakiem, zatrzymywały lody, i musieli odstępować z takiej próby, jeśli przedtem nie spotkała ich śmierć.

– Mówisz więc, że podjęto wiele prób odkrycia Przejścia Północno-Wschodniego?

– Około pięćdziesięciu w ciągu ostatnich trzech wieków, i zawsze nadaremno.

---

w 399 roku p.n.e. na jej wypicie został skazany grecki filozof Sokrates (469-399), oskarżony o bezbożność.

<sup>1</sup> *Baldaszkowate (Apiaceae)* – selerowate, rodzina bylin i krzewów z rzędu selerowców, ok. 3700 gatunków rosnących głównie w strefie umiarkowanej całego świata, najbardziej znane to warzywa koper i seler.

<sup>2</sup> *Apioidaea* – podrodzina rodziny selerowatych, należą do niej szale jadowite i seler zwyczajny.

– Czy mógłbyś mi wymienić niektóre z tych wypraw?

– Pierwszą wysłano w 1523 roku pod kierunkiem Sebastiana Cabota<sup>1</sup>. Składała się z trzech okrętów pod dowództwem nieszczęsnego sir Hugh Willoughby'ego<sup>2</sup>, który wraz z całą załogą zginął w Laponii. Jednemu z jego poruczników, Chancellorowi<sup>3</sup>, szczęście początkowo bardziej sprzyjało, i zdołał on wytyczyć bezpośrednią drogę przez morza arktyczne między kanałem La Manche a Rosją. Ale i jego przy drugiej próbie miało czekać rozbicie statku i śmierć. Wysłany w jego poszukiwaniu kapitan Stephen Borough<sup>4</sup> zdołał przekroczyć cieśninę<sup>5</sup> oddzielającą Nową Ziemię<sup>6</sup> od Wyspy Wajgacz<sup>7</sup> i wpłynąć na Morze

---

<sup>1</sup> *Sebastiano Cabot* (ok. 1476-ok. 1557) – u J. Verne'a: François-Sébastien Cabot; włoski żeglarz, brał udział w wyprawach ojca, działającego dla Anglii Johna Cabota, w roku 1505 na zlecenie króla Anglii Henryka VII szukał drogi do Azji na północ od Ameryki, potem służył Hiszpanii, w 1551 stanął na czele angielskiej Kompanii Moskiewskiej, na jej zlecenie zorganizował wyprawę mającą na celu odnalezienie Przejścia Północno-Wschodniego, sam w niej nie uczestniczył; w podanym roku 1523 służył Hiszpanii i złożył potajemnie ofertę Wenecji poszukania drogi do Chin, ale Przejściem Północno-Zachodnim, pomyłka zamiast roku 1553.

<sup>2</sup> *Hugh Willoughby* (?-1554) – angielski wojskowy i żeglarz, w roku 1553 dowódca wyprawy mającej odnaleźć Przejście Północno-Zachodnie, podczas sztormu na północ od Skandynawii jego trzy statki zostały rozdzielone, statek Willoughby'ego, „Bona Esperanza”, dotarł w pobliże archipelagu Nowa Ziemia, ale nie zdołał na nim wylądować; w drodze powrotnej utknął w lodach przy wybrzeżu półwyspu Kola, cała załoga zginęła podczas srogiej zimy.

<sup>3</sup> *Richard Chancellor* (?-1556) – angielski żeglarz i odkrywca, w wyprawie Willoughby'ego jego zastępca i główny nawigator, po rozdzieleniu przez sztorm jego statek „Edward Bonaventure” znalazł wejście na Morze Białe, wylądował w pobliżu późniejszego Archangielska, skąd na zaproszenie cara Iwana Groźnego udał się do Moskwy; po powrocie do Anglii wysłany z nową wyprawą na Morze Białe, zginął w drodze powrotnej.

<sup>4</sup> *Stephen Borough* (1525-1584) – angielski żeglarz i odkrywca, uczestnik wyprawy Willoughby'ego, w roku 1556 stanął na czele wyprawy Kompanii Moskiewskiej mającej znaleźć Przejście Północno-Wschodnie, dotarł do cieśniny Karskie Wrota, zmuszony do zawrócenia; pierwszy sporządził mapy Morza Białego.

<sup>5</sup> Mowa o cieśninie Karskie Wrota, między Nową Ziemią i Wajgaczem, łączy Morze Karskie z Morzem Barentsa.

<sup>6</sup> *Nowa Ziemia* – archipelag na Oceanie Arktycznym, u północnych wybrzeżach Rosji, na granicy Europy i Azji.

<sup>7</sup> *Wajgacz* – wyspa na Oceanie Arktycznym, między północnymi wybrzeżami Rosji a archipelagiem Nowa Ziemia.

Karskie<sup>1</sup>; lody i mgła uniemożliwiły mu jednak dalszą podróż... Nie powiodły się również dwie wyprawy podjęte w roku 1580<sup>2</sup>. Do nowych poszukiwań piętnaście lat później powrócili jednak Holendrzy, którzy urządzili trzy kolejne wyprawy pod dowództwem Barentsa<sup>3</sup>, mające za cel odnalezienie Przejścia Północno-Wschodniego. W 1596 roku Barents zginął w lodach Nowej Ziemi... Dziesięć lat później Henry Hudson<sup>4</sup>, wysłany przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską<sup>5</sup>, również poniósł klęskę podczas trzech kolejnych wypraw... Duńczycy nie mieli więcej szczęścia w roku 1653...<sup>6</sup> W 1676 kapitan John Wood<sup>7</sup> również poniósł klęskę... Po tym czasie przedsięwzięcie zostało uznane za niemożliwe do przeprowadzenia, a wszystkie potęgi morskie je porzuciły.

– Czy od tej pory nie zostało nigdy podjęte?

---

<sup>1</sup> *Morze Karskie* – część Oceanu Arktycznego pomiędzy Nową Ziemią, Syberią i archipelagami Ziemi Franciszka Józefa i Ziemi Północnej.

<sup>2</sup> Chodzi o wyprawy angielskie pod dowództwem Arthura Peta, który dotarł do Wajgacza i odkrył cieśninę Jugorskij Szar między tą wyspą a lądem stałym, oraz Charlesa Jackmana, która zaginęła.

<sup>3</sup> Willem *Barents* (ok. 1550-1597) – holenderski żeglarz i odkrywca, poprowadził trzy wyprawy mające odnaleźć Przejście Północno-Wschodnie (1594, 1595 i 1596); podczas pierwszej dotarł do Nowej Ziemi, podczas trzeciej odkrył Spitsbergen, próbował opłynąć Nową Ziemię od północy, zatrzymany przez lody, przezimował na jej wybrzeżu z całą załogą; zmarł w drodze powrotnej 20 czerwca 1597 roku, a nie 1596 i na łodzi, którą płynął, a nie w lodach.

<sup>4</sup> *Henry Hudson* (ok. 1565-1611) – angielski żeglarz i odkrywca, w roku 1607 i 1608 podczas wysłanych przez Kompanię Moskiewską wypraw na wschód odkrył Wyspę Niedźwiedzią, dotarł do Nowej Ziemi, następne jego wyprawy poszukiwały Przejścia Północno-Zachodniego, dokonał wielu odkryć.

<sup>5</sup> *Holenderska Kompania Wschodnioindyjska* – spółka handlowa założona w roku 1602 przez Republikę Zjednoczonych Prowincji, miała monopol na zakładanie kolonii w Azji i handel z nimi, rozwiązana w 1798, w roku 1609 wysłała Hudsona na poszukiwanie Przejścia Północno-Zachodniego, ten jednak zamiast na wschód, udał się na zachód.

<sup>6</sup> Wyprawa handlowa wysłana przez Duńską Północną Kompanię Handlową; dotarła do Nowej Ziemi, opisana w wydanej w roku 1671 książce jej uczestnika, Francuza Pierre'a Martina de La Martinière.

<sup>7</sup> *John Wood* (?-1682) – angielski żeglarz, kapitan statku „Speedwell”, w roku 1676 wysłany przez Karola II na poszukiwanie Przejścia Północno-Wschodniego, rozbił się u wybrzeży Nowej Ziemi, zdołał wrócić do Anglii.

– Podjęła je Rosja, ogromnie zainteresowana, podobnie zresztą jak wszystkie państwa północne, odnalezieniem bezpośredniej drogi morskiej między swoimi wybrzeżami a Syberią. W ciągu jednego stulecia wysłała nie mniej niż osiemnaście kolejnych wypraw mających prowadzić badania Nowej Ziemi, Morza Karskiego oraz wschodnich i zachodnich brzegów Syberii. Wyprawy te zaowocowały wprawdzie lepszym poznaniem owych obszarów, lecz doszły do wniosku, że niemożliwe jest wytyczenie ciągłego przejścia przez wielkie morze arktyczne. Akademię von Baer<sup>1</sup>, który dokonał ostatniej próby takiej przygody w 1837 roku, po tych admirała Lütkego<sup>2</sup> i Pachtusowa<sup>3</sup>, oświadczył, że ocean ten jest jedynie „zwykłym polem lodowym”, dla statków równie nieprzejezdnym jak kontynent.

– A zatem należy wyrzec się na zawsze wytyczenia Przejścia Północno-Wschodniego?

– Przynajmniej taki właśnie wniosek zdaje się wynikać z owych licznych i zawsze darennych prób. Krążą jednak słuchy, że nasz wielki podróżnik Nordenskiöld<sup>4</sup> myśli o wznowieniu tego przedsięwzięcia, do którego przygotował się poprzez krótsze wyprawy na morza arktyczne. Jeśli tak jest naprawdę, to podobną próbę uznaje za wykonalną. A skoro tak uważa ktoś równie dobrze znający się na sprawie, to jego przekonanie należy traktować poważnie.

Doktor Schwaryencrona zadawał tyle pytań o Przejście Północno-Wschodnie, ponieważ należał do osób najbardziej podziwiających

---

<sup>1</sup> Karl Ernst von Baer (1792-1876) – u J. Verne’a: Van Baër; rosyjski przyrodnik, embriolog, członek Petersburskiej Akademii Nauk, w 1837 prowadził na Nowej Ziemi badania wiecznej zmarzliny i roślinności, autor wielu prac naukowych.

<sup>2</sup> Fiodor (Friedrich) Lütke (1797-1882) – rosyjski geograf, żeglarz, w latach 1821-1824 prowadził badania wybrzeży Nowej Ziemi, Morza Barentsa i Morza Białego, w latach 1826-1829 podczas wyprawy dookoła świata odkrył Karoliny.

<sup>3</sup> Piotr Pachtusow (1800-1835) – rosyjski żeglarz, odkrywca, w roku 1832 i 1835 prowadził badania geodezyjne i meteorologiczne Nowej Ziemi, zimował na niej, twórca map tego archipelagu.

<sup>4</sup> Nils Adolf Erik Nordenskiöld (1832-1901) – u J. Verne’a: Nordenskiöld; fiński geolog i badacz polarny szwedzkiego pochodzenia, profesor uniwersytetu w Sztokholmie; w roku 1858 i 1861 badał Spitsbergen, w latach 1870-1873 Grenlandię, później Arktykę, w 1878-1879 jako pierwszy pokonał na statku parowym Przejście Północno-Wschodnie.

Nordenskiölda. Dlatego był zachwycony ścisłością odpowiedzi. Skupił wyrażający najwyższe zainteresowanie wzrok na Eriku Hersebomie.

– Moje dziecko, gdzieś się nauczył tych wszystkich rzeczy? – zapytał go po dłuższym milczeniu.

– Tutaj, panie doktorze – odparł zaskoczony tym pytaniem Erik.

– I nigdy nie chodziłeś do żadnej innej szkoły?

– Na pewno nie.

– Pan Malarius ma pełne prawo być z ciebie dumny! – powiedział doktor, odwracając się ponownie do nauczyciela.

– Jestem ogromnie zadowolony z Erika – stwierdził ten. – Jest moim uczniem od prawie ośmiu lat, bo zaczął, gdy był bardzo mały, i zawsze był najlepszy w swojej klasie.

Lekarz na nowo popadł w milczenie. Przenikliwy wzrok miał nadal z osobliwą mocą utkwiony w Eriku. Sprawiał wrażenie, że stara się osiągnąć rozwiązanie problemu, o którym nie chciał mówić na głos.

– Nie dałoby się lepiej odpowiedzieć na moje pytania i sądzę, że zadawanie dalszych jest niepotrzebne! Nie będę opóźniał waszego zwolnienia do domu, drogie dzieci, a ponieważ pan Malarius się na to zgadza, na dzisiaj kończymy.

Na te słowa nauczyciel klasnął w dłonie. Wszyscy uczniowie wstali jednocześnie, wzięli swoje książki i na wolnej przestrzeni przed ławkami ustawili się w czterech rzędach.

Pan Malarius klasnął po raz drugi. Kolumna wyruszyła marszem i z ładu wojskowym porządkiem opuściła klasę.

Wydano trzeci znak, a cała szkoła, łamiąc szeregi, rozbiegła się z radosnymi okrzykami. W kilka chwil rozproszyła się na brzegach błękitnych wód północnych, odbijających kryte damią dachy Noroë.



## Rozdział II

### U rybaka z Noroë

**D**om *maaster*<sup>1</sup> Herseboma, jak wszystkie w Noroë pokryty dachem z darni, został zbudowany z ogromnych pni jodłowych zgodnie z dawnym planem skandynawskim; ma dwie duże izby rozdzielone w środku korytarzem prowadzącym do szopy, w której przechowywane są łodzie, narzędzia rybackie i stopy *dorseli*<sup>2</sup>, czyli małych dorszy z Norwegii i Islandii, które po wysuszeniu są zwijane, aby trafić do handlu pod nazwą *rondfish*<sup>3</sup> (ryba okrągła) i *stock-fish*<sup>4</sup> (ryba na patyku).

Każda z dwóch izb pełni jednocześnie funkcję salonu i sypialni. Szuflady zainstalowane w drewnianych ścianach mieszczą pościel złożoną z materacy i kołder ze skór, a wyciąga się ją tylko na noc. Owo rozmieszczenie, jak również jasny kolor drewnianych ścian i radosny blask wysokiego kominka znajdującego się w narożniku, w którym zawsze płonie duży ogień, nadaje najskromniejszym chatom atmosferę schludności i wygod domowych, jakiej nie znają wieśniacy z południowej Europy.

Owego wieczora cała rodzina zebrała się wokół paleniska z tkwiącym na nim olbrzymim garem, w którym gotowała się potrawa zwana *sill-sallat*<sup>5</sup>, będąca mieszaniną wędzonego śledzia, łososia i ziemniaków. Siedzący na wysokim drewnianym krześle *maaster* Hersebom

---

<sup>1</sup> *Maaster* – nie ma takiego słowa w języku norweskim i szwedzkim, zapewne ma mieć znaczenie „mistrz”, „majster”, jak dawniej zwracano się do samodzielnych rzemieślników i np. rybaków, po norwesku *herra*, a po szwedzku *bemästra*.

<sup>2</sup> *Dorsel* – po norwesku i szwedzku „grzbietowy”, dorsz to *torsk*.

<sup>3</sup> *Rondfish* – w pisowni współczesnej *rundfisk*, ryba okrągła, od kształtu po zawinięciu.

<sup>4</sup> *Stock-fish* – w pisowni współczesnej *stokkfisk*, ryba patykowa, od kształtu bez zawijania lub od żerdzi tworzących rusztowania, na których suszono ryby.

<sup>5</sup> *Sill-salat* – w pisowni współczesnej *sildesalat*, sałatka śledziowa (*sild* to po norwesku śledź), tradycyjna potrawa z kawałków śledzia i warzyw, nie jest gotowana.



wiązał sieci, co było jego nieodmiennym zajęciem, kiedy nie znajdował się na morzu lub w suszarni. Ten twardy marynarz miał cerę ogorzałą od polarnych wiatrów i siwiejące już włosy, choć nadal był w kwiecie wieku. Jego syn Otto, wysoki chłopiec w wieku czternastu lat, pod każdym względem przypominający ojca i jak się wydawało, skazany na zostanie tak jak on wysmienitym rybakim, był w tej chwili zajęty zgłębianiem tajemnicy reguły trzech<sup>1</sup>, i wielką łapą, która wyglądała na znającą się dużo bardziej na wiosłowaniu, pokrywał cyframi małą tabliczkę. Erik, pochylony nad stołem jadalnym, był pochłonięty czytaniem wielkiej książki historycznej, pożyczonej mu przez pana Malariusza. Tuż obok niego Katrina Hersebm, dobra kobieta, przędła spokojnie na swoim kołowrotku, natomiast mała Vanda, jasnowłosa dziewczynka w wieku dziesięciu albo dwunastu lat, siedziała na stołku, gorliwie robiąc na drutach dużą pończochę z czerwonej wełny. U jej stóp spał zwinięty w kłębek spory pies o jasnożółtej sierści, gęstej jak u owcy.

Co najmniej od godziny trwała nieprzerwanie cisza, a miedziana lampa zasilana olejem rybnym swoimi czterema wylotami oświetlała łagodnie wszystkie szczegóły tego pogrążonego w spokoju wnętrza.

Owo milczenie zdawało się jednak ciążyć gospodyni Katrinie, która od pewnego już czasu różnymi objawami zdradzała potrzebę posłuszenia się językiem.

W końcu nie zdołała dłużej wytrzymać milczenia.

– Dziś wieczorem dość już się napracowaliśmy – powiedziała. – Pora nakryć do stołu i zjeść kolację.

Erik bez słowa protestu wziął swoje tomisko i przeniósł się bliżej kominka, podczas gdy Vanda, odłożywszy robótkę na drutach, poszła do kredensu i zabrała się do wyjmowania talerzy i łyżek.

– Powiedziałeś, Ottonie – dodała prządka – że nasz Erik po południu dobrze odpowiadał doktorowi?

– Dobrze odpowiadał?! – zawołał entuzjastycznie Otto. – Mówił jak z książki, naprawdę! Nie mam pojęcia, skąd brał wszystko to, co

---

<sup>1</sup> *Reguła trzech* – w matematyce sposób obliczania czwartego składnika proporcji, jeśli znane są pozostałe trzy.



Owego wieczora cała rodzina zebrała się wokół paleniska z tkwiącym na nim olbrzymim garem.

wiedział... Im dłużej doktor zadawał pytania, tym więcej miał mu do powiedzenia...! A słowa napływały i napływały...! Jak bardzo zadowolony był pan Malarius!

– I ja też byłam zadowolona – powiedziała z powagą Vanda.

– Och! Wszyscy byliśmy, to oczywiste! Gdybyś tylko widziała, mamo, jak go wszyscy słuchali z otwartymi ustami...! Baliśmy się jedynie, że my też będziemy przepytywani...! Ale on nie bał się zupełnie i odpowiadał doktorowi tak, jakby czynił to naszemu panu!

– No tak! Uważam, że pan Malarius jest równie dobry jak doktor, a na pewno tak samo uczony jak każdy inny! – powiedział Erik, którego owe pochwały bez miary wydawały się onieśmielać.

Stary rybak pochwalił go uśmiechem.

– Masz rację, mój mały – potwierdził, nie przerywając pracy swoich zrogowaciałych dłoni. – Pan Malarius mógłby wskazać miejsce wszystkimi doktorom w mieście, gdyby tylko zechciał... I przynajmniej nie posługuje się nauką, aby biednych ludzi doprowadzać do ruiny!

– Czy doktor Schwaryencrona doprowadził kogoś do ruiny? – spytał zaciekawiony Erik.

– Czy...? Hmm...! Jeśli nawet nie, to nie ma w tym jego zasługi...! Mówię wam, nie myślicie chyba, że byłem zadowolony, patrząc, jak tam, na skraju fiordu, powstaje owa dymiąca fabryka... Matka może wam powiedzieć, że kiedyś zbieraliśmy swój olej i sprzedawaliśmy bardzo drogo w Bergen, zarabiając rocznie sto pięćdziesiąt, a nawet dwieście koron... Teraz to minęło! Nikt już nie chce brązowego oleju, albo płacą za niego tak mało, że prawie nie opłaca się jechać! Trzeba się cieszyć, że sprzedajemy fabryce wątroby, a Bóg świadkiem, że zarządca doktora umie je kupować po niskiej cenie...! Z trudem dostają za nie czterdzieści pięć koron, zadając sobie trzy razy więcej trudu niż kiedyś! No cóż...! Powiem, że to niesprawiedliwe i że doktor lepiej by zrobił, lecząc w Sztokholmie swoich pacjentów, zamiast przyjeżdżać tutaj, aby przejmować nasze zajęcia i zabierać nam źródło utrzymania!

Po tych gorzkich słowach zapadła cisza. Przez kilka chwil słychać było jedynie stukanie talerzy, które rozstawiała Vanda, kiedy jej matka przekładała zawartość garnka na wielki półmisek z lakierowanej gliny.

Erik popadł w głęboką zadumę nad słowami wypowiedzianymi właśnie przez *maaster* Herseboma. Do głowy cisnęły mu się mocno różne sprzeciwy, a ponieważ nie ukrywał nigdy swoich myśli, nie zdołał się powstrzymać od ich wyrażenia.

– Uważam, że masz rację, ojcze, żałując zysków z dawnych czasów – powiedział – ale też, że oskarżanie doktora Schwaryencrona o spowodowanie ich spadku nie jest ani trochę sprawiedliwe! Czy jego olej nie jest lepszy od tego, który wyrabia się w domu?

– Czy...? Hmm...! Jest bardziej przejrzysty, to wszystko... Z tego, co mówią, nie pachnie żywicą jak nasz...! Na pewno właśnie dlatego wolą go wszystkie te miejskie paniusie! Ale niech mnie diabli, jeżeli dla płuc chorych działa więcej dobrego niż nasz zacny olej z dawnych czasów...!

– W każdym razie, z takich czy innych powodów ludzie wybierają ten nowy! A ponieważ jest lekarstwem bardzo zdrowym, bardzo liczy się to, żeby przy jego zażywaniu smakował ludziom jak najmniej odstręczająco. Dlatego właśnie, skoro jakiś lekarz poprzez zmianę sposobu wytwarzania oleju znalazł sposób na poprawę jego smaku<sup>1</sup>, to czy nie miał obowiązku, by upowszechnić swoje odkrycie?

*Maaster* Hersebom podrapał się po uchu.

– Bez wątpienia – powiedział jakby z żalem – jako lekarz miał może taki obowiązek. Nie znaczy to jednak, żeby należało uniemożliwiać biednym rybakom zarabianie na życie...

– Przecież fabryka doktora zatrudnia trzystu ludzi, podczas gdy w czasach, o których mówisz, nie było ich w Noroë nawet dwudziestu – sprzeciwił się nieśmiało Erik.

– Och! Racja, i właśnie dlatego nasze zajęcie stało się bezwartościowe! – zawołał Hersebom.

---

<sup>1</sup> Początkowo olej z dorsza produkowano, umieszczając wątroby tych ryb beczkach, żeby w nich zgniły, a potem odsączano tran, który miał brązowy kolor i odpychający smak; wobec dużego wzrostu od początku XIX wieku zapotrzebowania na tran jako lekarstwo, szukano innych sposobów jego pozyskiwania, pierwszy opracował w roku 1850 Norweg Peter Joachim Möller (1793-1869), pierwowzór Schwaryencrony; wątroby mielono z wodą na papkę, którą gotowano na słabym ogniu, aż olej wypływał na wierzch, a potem poddawano go odfuszczeniu i oczyszczaniu, na opakowaniach tranu umieszczano wizerunek Möllera.

– Przestańcie! Kolacja podana, siadajcie do stołu – powiedziała gospodyni Katrina, która dostrzegła, że rozmowa staje się bardziej gorąca, niż jej się podobało.

Pojąwszy, że dalsze upieranie się przy swoim nic by nie dało, Erik nie udzielił odpowiedzi na wywód *maaster* Herseboma i zajął swoje zwykłe miejsce obok Vandy.

– Doktor i pan Malarius mówią sobie na ty, czy są zatem kolegami z dzieciństwa? – zapytał, chcąc zmienić temat rozmowy.

– Oczywiście – odpowiedział rybak, siadając do posiłku. – Obaj urodzili się w Noroë, a ja wciąż pamiętam czasy, gdy bawili się na szkolnym podwórku, choć są ode mnie o jakieś dziesięć lat starsi. Pan Malarius jest synem ówczesnego lekarza, a doktor synem prostego rybaka. Od tamtych czasów zaszedł jednak daleko!

To powiedziawszy ów zacyjny człowiek miał właśnie zanurzyć łyżkę w talerzu z parującą rybą i ziemniakami, gdy pukanie do drzwi sprawiło, że z miejsca wstrzymał ten ruch.

– Mistrzu Hersebm, czy mogę wejść? – zakrzyknął w korytarzy donośny, mocno dźwięczny głos.

Potem, nie czekając na pozwolenie, do pokoju wszedł ten właśnie człowiek, o którym przed chwilą była mowa, wpuszczając za sobą mocny podmuch zimnego powietrza.

– Pan doktor Schwaryencrona! – zawołała trójka dzieci, a ojciec i matka zerwali się żywo na nogi.

– Mój drogi Hersebm – powiedział uczony, biorąc w dłonie rękę rybaka – nie widzieliśmy się od wielu lat; mimo to nie zapomniałem o waszym wspaniałym ojcu i pomyślałem, że mogę pojawić się u was jako przyjaciel z dzieciństwa!

Zacyjny gospodarz, bez wątpienia trochę zakłopotany, gdyż pamiętał o oskarżeniach, które dopiero co wysuwał wobec swego gościa, miał pewne kłopoty ze znalezieniem odpowiedzi na te słowa. Dlatego zadowolił się odwzajemnieniem uścisku dłoni lekarza i uśmiechem serdecznego powitania, natomiast jego dobra żona przeszła do rzeczy najpilniejszej.

– Ottonie, Eriku, pomóżcie szybko panu doktorowi zdjąć pelisę, a ty, Vando, postaw jeszcze jedno nakrycie! – poleciła, okazując go-

ścianność typową dla wszystkich norweskich pań domu. – Czy pan doktor zaszczyca nas, zjadając cokolwiek?

– Naprawdę bym nie odmówił, proszę mi wierzyć, gdybym odczuwał choć odrobinę apetytu, a to danie z łososia wygląda na bardzo smaczne...! Jednakże niecałą godzinę temu zjadłem kolację z moim przyjacielem Malariussem, i z pewnością nie przyszedłbym tak szybko, gdybym sądził, że mogę was nadal zastać przy stole... Dlatego proszę sprawić mi wielką przyjemność, wracając na swoje miejsca i postępując tak, jakby mnie tu wcale nie było.

– Och, panie doktorze – błagała go dobra kobieta – czy zgodzi się pan chociaż na kilka *snorgas*<sup>1</sup> i filiżankę herbaty?

– Przyjmę filiżankę herbaty, ale pod warunkiem, że najpierw zjecie kolację – odpowiedział doktor, zasiadając w wielkim fotelu, który wyciągał do niego swoje poręcze.

Vanda od razu postawiła dyskretnie czajnik na ogniu i niczym sylf<sup>2</sup> zniknęła w sąsiedniej izbie, podczas gdy cała rodzina, dzięki wrodzonej uprzejmości wiedząca dobrze, że nalegając dłużej, wprowadziłyby tylko w zakłopotanie swojego gościa, wróciła do spożywania posiłku.

Po upływie dwóch minut doktor czuł się już jak u siebie. Podsycając żar w kominku i ogrzewając nogi płonącymi w nim drwami, które Katrina dorzuciła, zanim ponownie usiadła przy stole, opowiadał o dawnych czasach, o starych znajomych, których już nie było na świecie, o tych, którzy pozostali, o zmianach zachodzących w kraju i w samym Bergen. Czuł się całkowicie swobodnie, i co najmocniej zdumiewało, zdołał sprawić, że *maaster* Hersebom odzyskał dobry humor, zanim Vanda wróciła z drewnianym półmiskiem zastawionym talerzykami i podsunęła go tak uprzejmie, że nie sposób już było odmówić.

Były to słynne norweskie *snorgas* – paski wędzonego mięsa renifera, filety śledziowe posypane czerwonym pieprzem, cienkie kromki czarnego chleba, słony ser i inne ostre przekąski, które dla zaostrenia apetytu jada się o każdej porze.

---

<sup>1</sup> *Snorgas* – zapewne szwedzkie słowo *smörgås*, kanapka, po norwesku *smørbrød*, dosłownie chleb (*brød*) z masłem (*smør*).

<sup>2</sup> *Sylf* – w europejskich wierzeniach ludowych duch powietrza, niewidzialny i ulotny.

Tak bardzo dobrze spełniły swoją rolę, że doktor, skosztowawszy je z uprzejmości, stwierdził, że jest w stanie oddać hołd dżemowi z jeżyn, którym szczególnie chlubiła się Katrina, i naszło go takie pragnienie, że ledwo zdołało je ugasić siedem czy osiem filiżanek niesłodzonej herbaty.

*Maaster* Hersebom wyciągnął następnie dzban doskonałego *schiedamu*<sup>1</sup>, kupionego od holenderskiego kupca. Potem, kiedy kolacja została zjedzona, doktor przyjął od gospodarza wielką fajkę, którą nabił i palił ku ogólnemu zadowoleniu.

Nie trzeba dodawać, że do tego czasu lody były już od dawna przełamane i wyglądało na to, jakby doktor od zawsze wchodził w skład tej rodziny. On i rybak śmiali się, gawędzili, zachowywali jak najlepsi przyjaciele, kiedy stary zegar z lakierowanego drewna wybił godzinę dziesiątą.

– Och, drodzy przyjaciele, zrobiło się późno – powiedział lekarz. – Jeśli zechcecie teraz posłać dzieci do łóżek, to porozmawiamy o poważnych sprawach.

Na znak Katriny, Otto, Erik i Vanda natychmiast złożyli wszystkim życzenia dobrej nocy i odeszli.

– Zapewne zastanawiacie się, dlaczego przyszedłem w gości – rzekł doktor po chwili milczenia, skupiając swój przenikliwy wzrok na *maaster* Hersebomie.

– Gość w dom, Bóg w dom – odpowiedział przysłowiem rybak.

– Tak, wiem, wiem, że gościnnność w Noroë nie ginie...! Jednak z pewnością już się domyśliliście, że musiałem mieć ważny powód, aby dziś wieczorem opuścić towarzystwo mojego starego przyjaciela Malariusia i przyjść właśnie do was...! Założę się, że pani Hersebom doszła już do pewnych podejrzeń dotyczących tego powodu.

– Poznamy go, kiedy zostanie nam przez pana podany – odpowiedziała dyplomatycznie dobra kobieta.

---

<sup>1</sup> *Schiedam* – stosowana we Francji i Wielkiej Brytanii nazwa bardzo znanej jałowcówki (dżinu) Ketel One, o mocy 40%, od roku 1691 produkowanej w holenderskim mieście Schiedam, w którym w XIX wieku istniało ponad 400 gorzelni.

– Racja! – przyznał z westchnieniem doktor. – Skoro nie chcecie mi pomóc, muszę sam przedstawić ten powód...! *Maaster* Hersebom, wasz syn Erik jest dzieckiem niezwykle znakomitym.

– Nie mogę się na niego skarżyć – odparł rybak.

– Jest wyjątkowo inteligentny i wykształcony, jak na swój wiek – ciągnął doktor. – Przepytywałem dzisiaj Erika w szkole i ogromnie mnie zdumiały jego niezwykle zdolności do pracy i myślenia, ujawnione podczas tego egzaminu...! Zdumiałem się również, gdy poznałem jego nazwisko, jak mało jest podobny z wyglądu do was i jak mało przypomina miejscowe dzieci!

Rybak i jego żona trwali bez ruchu i bez słowa.

– Krótko mówiąc – mówił dalej doktor z pewną niecierpliwością – to dziecko mnie nie tylko ciekawi, ale też intryguje. Rozmawiałem o Eriku z Malariuszem i dowiedziałem się, że trafił na nasze wybrzeże po rozbiciu się statku, że zabraliście go, wychowaliście i przysposobiliście do tego stopnia, że nadaliście mu swoje nazwisko! To wszystko prawda, czyż tak?

– Prawda, panie doktorze – odpowiedział poważnie Hersebom.

– Choć nie jest naszym synem z krwi, to jest nim z serca i miłości! – zawołała Katrina, mając mokre oczy i drżące usta. – Nie czynimy żadnych różnic między nim a naszym Ottonem czy naszą Wandą! Ani przez chwilę nie przyszło nam do głowy, że jest jakakolwiek!

– Oboje możecie być szczerze dumni z tych uczuć – powiedział doktor, poruszony oburzeniem dobrej kobiety. – Proszę was jednak, przyjaciele, opowiedzcie mi całą historię tego dziecka. Przyszedłem w celu poznania jej, a zapewniam was, że pragnę wyłącznie jego dobra.

Rybak, drapiąc się po uchu, zdawał się przez chwilę wahać. Widząc jednak, że doktor z niecierpliwością czeka na jego opowieść, zdecydował się wreszcie mówić.

– Rzeczywiście jest tak, jak panu powiedziano, a dziecko nie jest naszym synem – powiedział jakby z żalem. – Niedługo upłynie dwanaście lat od dnia, w którym wybrałem się na połów ryb poza wysepkę przesłaniającą miejsce łączenia się fiordu z otwartym morzem. Wie pan, że dno wokół niej jest piaszczyste i występują tam obficie



dorsze ... Po dość dobrym połowie wyciągałem ostatnie linki z haczykami i już miałem postawić żagiel, kiedy w promieniach zachodzącego słońca spostrzegłem coś białego, unoszącego się na wodzie około mili dalej. Przyciągnęło to moją uwagę, a morze było wtedy łagodne i nie musiałem się spieszyć do domu. Dlatego zamiast skierować łódź do Noroë, uległem ciekawości i popłynąłem ku tej białej rzeczy, aby zobaczyć, czym jest. W dziesięć minut dotarłem do niej. Unoszącym się w ten sposób przedmiotem, niesionym przez wzbierająca przyływ ku brzegowi, była mała wiklinowa kołyska owinięta muślinowym obiciem i dobrze przymocowana do koła ratunkowego. Podpłynąłem do niej, aż znalazła się w zasięgu ręki, i z przejęciem, które może pan łatwo pojąć, chwyciłem koło, wyciągnąłem z wody, a wtedy zobaczyłem w kołysce biedne niemowlę w wieku siedmiu lub ośmiu miesięcy, które spokojnie spało, zaciskając piąstki! Było wprawdzie trochę blade i chłodne, ale nic nie wskazywało na to, aby ucierpiało zbyt podczas swojej pełnej zagrożeń podróży, sądząc po sile, z jaką zaczęło ryczeć po przebudzeniu, gdy tylko przestały je kołysać fale. Mielśmy już swojego Ottona i wiedziałem, jak zajmować się takimi maluszkami. Pospiesznie zrobiłem więc gałganek z kawałka szmatki, zanurzyłem go w odrobinie wody zmieszanej z branvinem<sup>1</sup> i dałem niemowlęciu do ssania...! Uspokoilo się od razu i sprawiało wrażenie, że ten napitek przyjęło z prawdziwym zadowoleniem. Miałem jednak jakby przecucie, że długo go to nie zadowoli. Dlatego najważniejszy był jak najszybszy powrót do Noroë. Oczywiście odwiązałem kołyskę i położyłem ją u swoich stóp na dnie łodzi. Trzymając szot<sup>2</sup> żagla, patrzyłem na to biedne małe stworzonko i zastanawiałem się, skąd mogło się wziąć. Bez wątplenia ze statku, który się rozbił! W nocy morze było bardzo wzburzone, wiatr dął z siłą huraganu, i takie nieszczęścia należało liczyć w dziesiątki. Jakimż to jednak splotem okoliczności niemowlę uniknęło losu tych, którzy się nim opiekowali? Jak komuś mógł przyjść do głowy pomysł przywiązania go do koła

---

<sup>1</sup> *Branevin* – skandynawska wódka [przypis J. Verne'a]; po norwesku *brennevin* to ogólne określenie napojów alkoholowych, zwłaszcza mocnych.

<sup>2</sup> *Szot* – lina służąca do ustawiania wolnego rogu żagla najkorzystniej względem kierunku wiatru; napina pracujący żagiel i biegnie od niego w dół do pokładu.

ratunkowego? Przez ile godzin unosiło się na wierzchołkach fal? Co się stało z ojcem, matką dziecka, tymi, którzy je kochali? Tyle pytań, które na zawsze miały pozostać bez odpowiedzi, bo biedne maleństwo nie będzie w stanie ich udzielić! Krótko mówiąc, pół godziny później byłem już w domu i moje znalezisko wręczyłem Katrinie! Mieliśmy wtedy krowę, którą natychmiast uczyniliśmy żywicielką dziecka. Było takie słodkie, takie uśmiechnięte, takie różowe, gdy zostało dobrze nakarmione mlekiem i ogrzane przy ogniu, że, nie kłamię, zaczęliśmy je od razu kochać, jakby było nasze...! A potem było nasze...! Zatrzymaliśmy je, wychowywaliśmy i nigdy nie robiliśmy różnicy między nim a dwojgiem naszych dzieci...! Prawda, żono...? – dodał *maaster* Hersebom, odwracając się do Katriny.

– No oczywiście, biedactwo! – odpowiedziała gospodyni, wycierając oczy, które owo wspomnienie wypełniło łzami. – Jest także naszym prawdziwym dzieckiem, ponieważ je zaadoptowaliśmy...! Nie wiem, dlaczego pan Malarius miałby mówić inaczej!

Wtedy zacna kobieta, szczerze oburzona, zaczęła znowu energicznie kręcić kołowrotkiem.

– To prawda! – potwierdził jej słowa Hersebom. – Więc czy ta sprawa dotyczy kogoś oprócz nas?

– Na pewno – odpowiedział doktor bardzo pojednawczym tonem – ale nie należy oskarżać Malariusza o zdradzenie tajemnicy. To ja, zdumiony wyglądem dziecka, poprosiłem nauczyciela, by w zaufaniu opowiedział mi jego historię. Malarius nie ukrywał przede mną, że Erik uważa się za waszego syna i że wszyscy w Noroë zapomnieli, jak nim został. Dlatego zadbałem, jak widzieliście, aby nie mówić przy chłopcu i zacząłem od posłania go do łóżka, tak samo jak brata i siostrę... Mówicie więc, że mógł mieć siedem lub osiem miesięcy, kiedyście go zabrali z morza?

– Coś koło tego! Miał już cztery zęby, nicpoń, i zapewniam pana, że wkrótce potem już się nimi posługiwał! – zaśmiał się Hersebom.

– Och, jakie to było piękne dziecko! – powiedziała z przejęciem Katrina – białe, jędrne, dobrze zbudowane...! A jego rączki i nóżki... Trzeba było je widzieć...

– Jak było ubrane? – zapytał doktor Schwaryencrona.

Hersebom nie odpowiedział, ale jego żona wykazała się mniejszą chęcią milczenia.

– Jak mały książę! – zawołała. – Proszę sobie wyobrazić, panie doktorze, sukieneczkę z piki<sup>1</sup>, całą obszytą koronką, podbitą ałtąsem pelisę, taką, od jakiej piękniejszej nie mógłby mieć syn królewski, plisowany czepek, płaszczyk z białego aksamitu...! Wszystko bardzo ładne...! A zresztą, może pan sam to stwierdzić, bo wszystko zachowałam w nienaruszonym stanie. Jak może się pan domyślać, nie bawiło nas ubieranie dziecka w to ubranko...! Odziewałam je wyłącznie w małe rzeczy Ottona, które zachowałam, a które później służyły Vandzie...! Mam tu jednak tę wyprawkę i ją panu pokazę.

Nie przerywając mówienia, zacna kobieta uklękła przed dużą dębową skrzynią ze staroświeckim zamkiem, podniosła wieko i żywo przeglądała jedną z przegródek.

Jedno po drugim wyciągała wszystkie wymieniane części ubranka, które następnie z dumą rozkładała przed doktorem, a także bardzo delikatne pieluszki, wspaniałe śliniaczek ozdobiony koronką, maleńkie jedwabne okrycie na nóżki i buciki z białej wełenki. Wszystkie te przedmioty były opatrzone elegancko wyhaftowanym monogramem złożonym z inicjałów E.D., co doktor dostrzegł już na pierwszy rzut oka.

– E.D. Czy to dlatego nadaliście dziecku imię Erik? – zapytał.

– A jakże – potwierdziła Katrina, wyraźnie rozradowana tym pokazem, który zdawał się czynić coraz mroczniejszą twarz jej męża. – A tu najpiękniejsza rzecz, którą miał na szyi...! – dodała, wyciągając ze skrytki grzechotkę ze złota i różowego korala, zawieszoną na łańcuszku.

Inicjały E.D. otaczała łacińska dewiza: *Semper idem*<sup>2</sup>.

– Najpierw myśleliśmy, że to imię i nazwisko dzieciątka – powiedziała, gdy lekarz odczytywał tę sentencję – ale pan Malarius powiedział nam, że oznacza to: „Zawsze ten sam”.

---

<sup>1</sup> *Pika* – dwuwarstwowa tkanina bawełniana, z jednej strony pokryta wzorem, z drugiej drapana, zwykle cienka, używana głównie na lekkie ubrania, np. dziecięce.

<sup>2</sup> *Semper idem* (łac.) – zawsze taki sam, zawsze to samo.

– Pan Malarius powiedział wam prawdę – zapewnił doktor, gdy padły te słowa będące na pewno pytaniem nie wprost. – Jest oczywiste, że dziecko urodziło się w bogatej i zajmującej wysoką pozycję rodzinie – dodał, gdy Katrina ponownie złożyła wyprawkę w skrzyni. – Czy nie macie żadnego pojęcia, z jakiego kraju mogło przyplłynąć?

– Skąd moglibyśmy coś takiego wiedzieć? – odpowiedział Hersebm. – Przecież znalazłem je na morzu!

– Tak, ale kołyska była przywiązana do koła ratunkowego, jak sami powiedzieliście, a we wszystkich marynarkach świata panuje zwyczaj umieszczania na takich kołach nazwy statku, do którego należał! – nie zrezygnował doktor, ponownie wbijając przenikliwy wzrok w oczy marynarza.

– Na pewno – odpowiedział ten, opuszczając głowę.

– No właśnie, a jaka nazwa znajdowała się na tym kole?

– Psiakrew, panie doktorze, przecież nie mam wykształcenia...! Umiem trochę czytać w moim języku, ale języki obce to czarna magia! A jeszcze zdarzyło się to dawno temu!

– Niemniej musicie choć trochę pamiętać...! I na pewno owo koło ratunkowe, podobnie jak wszystko inne, pokazaliście panu Malariusowi...? No, *maaster* Hersebm, wysilcie się trochę. Czy na kole nie widniała aby nazwa „Cynthia”?

– Sądzę, że coś takiego rzeczywiście było – odpowiedział niepewnie rybak.

– To obca nazwa...! Waszym zdaniem, *maaster* Hersebm, z jakiego kraju pochodzi?

– Żeby to ja wiedział...! A bo to znam te wszystkie diabelne kraje...? Czy kiedykolwiek opuściłem okolice Noroë i Bergen, nie licząc tego, że raz czy dwa popłynąłem łowić ryby u wybrzeży Islandii i Grenlandii? – odrzekł poczciwiec coraz bardziej skwaszonym głosem.

– Powiniennem sądzić, że to nazwa angielska lub niemiecka – powiedział lekarz, nie przejmując się tym drobiazgiem. – Krój liter pozwoliłby łatwo dokonać wyboru między nimi<sup>1</sup>, gdybym zobaczył koło ratunkowe. Nie zachowaliście go?

---

<sup>1</sup> W krajach niemieckojęzycznych w XIX wieku używano kroju pisma, zwanego gotyckim (szwabacha, fraktura), łatwo odróżnianego od stosowanego w reszcie Europy Zachodniej pisma łacińskiego.

– Zapewniam, że nie. Spłonęło już dawno temu! – wykrzyknął triumfalnie Hersebom.

– Malarius zapamiętał, że litery były łacińskie – ciągnął doktor, mówiąc jakby do siebie – a monogram na tkaninie z pewnością jest łaciński. Najpewniej więc „Cynthia” nie była statkiem niemieckim. Myślę, że raczej angielskim... Nie uważacie tak, *maaster* Hersebom?

– Oj tam! Niezbyt mnie to obchodzi! – odpowiedział rybak. – Czy był *ingliche*, czy rosyjski, czy patagoński, to najmniejsze z moich zmartwień...! Wszystko zdaje się wskazywać, że minęło sporo czasu, odkąd statek powierzył swoją tajemnicę oceanowi, na głębokości trzech lub czterech tysięcy metrów!

Można by rzeczywiście wierzyć, że *maaster* Herseboma ogromnie cieszyło przeświadczenie, że owa tajemnica spoczywa tak głęboko pod powierzchnią morza.

– Czy poczyniliście jakieś starania, aby odnaleźć rodzinę dziecka? – zapytał doktor, w którego okularach w tej chwili zabłysła jakby głęboka ironia. – Czy napisaliście do gubernatora Bergen, zamieściliście ogłoszenia w gazetach?

– Co, ja?! – zawołał rybak. – Niczego takiego nie zrobiłem...! Tylko Bóg wie, skąd pochodziło niemowlę i kto by się tym przejmował? Czy miałem pieniądze, żeby wydawać je na odnalezienie ludzi, którzy aż tak mało się o nie martwili...? Proszę się postawić na moim miejscu, panie doktorze... Nie jestem przecież milionerem...! A jeszcze: choćbyśmy nawet wydali wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy, i tak na pewno niczego byśmy się nie dowiedzieli...! Staraliśmy się, jak tylko umieliśmy, wychowywaliśmy małego jak własnego syna, kochaliśmy go, troszczyliśmy się o niego...

– Mocniej jeszcze niż o pozostałą dwójkę, o ile to tylko możliwe...! – przerwała mężowi Katrina, wycierając oczy rękawem fartucha – I jeśli możemy sobie coś zarzucić, to najwyżej poświęcanie mu zbyt wielkiej części naszej czułości!

– Pani Hersebom, proszę nie zarzucać mi niesprawiedliwie, że całe dobro, jakie okazywaliście temu biednemu małemu rozbitkowi, wzbudza we mnie jakiegokolwiek inne uczucie niż najwyższy podziw! –

zawołał doktor. – Nie, oczywiście tak pani nie myśli...! Ale jeśli życzy pani sobie, abym mówił całkiem szczerze, to sędzę, że właśnie z powodu tej miłości nie zauważaliście, co było waszym obowiązkiem! A polegał on przede wszystkim na szukaniu rodziny dziecka z całych swoich sił!

Zapadła grobowa cisza.

– To możliwe! – powiedział w końcu *maaster* Hersebom, skłaniając głowę pod brzemieniem owego wyrzutu. – Ale co się stało, to się nie odstanie! Teraz Erik jest wyłącznie nasz, i ani myślę opowiadać mu o tych starych dziejach.

– Możecie się nie obawiać, nie zdradzę waszej tajemnicy – odparł doktor, wstając. – Robi się późno... Zostawiam was, dobrzy przyjaciele, i życzę dobrej nocy... nocy bez wyrzutów sumienia – dodał z powagą.

Następnie założył podbitą futrem pelisę i odrzuciwszy propozycję rybaka, który chciał go odprowadzić, uściśnął serdecznie dłonie gospodarzy i ruszył w stronę fabryki.

Hersebom przez chwilę stał na progu, patrząc w świetle księżycyca na odchodzącego doktora.

– Diabeł nie człowiek! – mruknął przez zęby, kiedy w końcu postanowił zamknąć drzwi.



## Rozdział III

### Przemyslenia *maaster* Herseboma

**N**astępnego ranka doktor Schwaryencrona, przeprowadziwszy dokładną inspekcję swej fabryki, kończył śniadanie jedzone z jej kierownikiem, gdy zobaczył wchodzącą postać, w której rozpoznał *maaster* Herseboma, choć nie od razu i z pewnym trudem. Przybysz odziany w świąteczne ubranie składające się z dużej haftowanej kamizelki i podbitego futrem surduta i wysokiego cylindra bardzo różnił się wyglądem od rybaka w roboczej kurtce. Tym jednak, co najbardziej go zmieniło, był smutny i pełen pokory wyraz twarzy. Oczy miał zaczerwienione i sprawiał wrażenie, jakby nie przespał nocy.

Rzeczywiście tak było. *Maaster* Hersebom, który do tego dnia nie odczuwał nigdy najmniejszych wyrzutów sumienia, miał właśnie za sobą kilka bardzo smutnych godzin spędzonych na skórzanym materacu! Nad ranem podzielił się kilkoma wielce bolesnymi myślami z Katriną, która również nie zmrużyła oka.

– Kobieto, zastanawiam się nad tym, co powiedział nam doktor! – zawołał po wielu godzinach bezsenności.

– Też o tym myślę, odkąd tylko wyszedł – odpowiedziała zacna gospodyni.

– Uważam, że w tym wszystkim jest sporo prawdy i że może byliśmy bardziej samolubni, niżli nam się wydawało! Kto wie czy chłopiec nie ma prawa do jakiegoś wielkiego majątku, którego przez nasze zaniechanie został pozbawiony...? Kto wie czy od dwunastu lat nie jest opłakiwany przez rodzinę, która miałaby rację, zarzucając nam, że nie uczyniliśmy nic, aby zawrócić go krewnym?

– To właśnie sobie w głowie powtarzam – odparła z westchnieniem Katrina. – Jeśli żyje jego matka, to jakże ta biedna kobieta musi strasznie cierpieć, przekonana, że jej dziecko utonęło...! Stawiałam się na jej miejscu i kiedy tylko pomyślę, że w ten sposób

stracilibyśmy naszego Ottona...! Nigdy już nie doznalibyśmy pocieszenia.

– Martwi mnie nie tylko matka, gdyż wszystko wskazuje na to, że nie żyje – powiedział Hersebom po chwili milczenia. – Nie sposób przecież przypuszczać, że dziecko w tym wieku mogłoby podróżować bez niej albo że zostałyby przywiązane do koła ratunkowego i pozostawione samotne na pastwę zagrożeń oceanu, gdyby nadal żyła...

– Rzeczywiście... ale co możemy tak naprawdę wiedzieć...? Może i ona jakimś cudem ocalała!

– A może nawet dziecko zostało jej odebrane...! Myśl ta przychodziła mi czasem do głowy – powiedział Hersebom. – Kto może wykluczyć, że ktoś miał interes w tym, aby zniknęło...? Umieszczenie maleństwa w ten sposób na kole jest postępkami tak niezwykłym, że dopuszczalne są wszelkie domysły... a w tym przypadku byłibyśmy współwinni zbrodni, sprzyjalibyśmy jej powodzeniu...! Czy taka myśl nie jest straszna...?

– Kto mógłby zarzucać nam coś podobnego, nam, którzy myśleliśmy, że adoptując biedactwo spełniliśmy miłosierny uczynek?

– Och! To oczywiście, że nie mieliśmy złych zamiarów! Karmiliśmy malca i wychowaliśmy najlepiej, jak tylko potrafiliśmy! Nie wyklucza to jednak, że postąpiliśmy bardzo nierozważnie i może on kiedyś będzie miał prawo czynić nam wyrzuty...!

– Jestem pewna, że tego możemy się zupełnie nie obawiać! Już i tak jest wiele rzeczy, o które możemy się obwiniać.

– Jakże to dziwne, że ten sam postępek oglądany z różnych punktów widzenia może być oceniany na tak przeciwne sposoby! Nigdy bym sobie nawet nie wyobraził czegoś podobnego...! Jednak wystarczyło tylko kilka słów doktora, aby w głowach wszystko wywróciło nam się do góry nogami!

Tak właśnie rozmawiali ci dobrzy ludzie.

Wynikiem owej wymiany nocnych rozmyślań było to, że *maaster* Hersebom przyszedł do doktora Schwaryencrony, aby poradzić się go, co można zrobić, aby naprawić popełniony niegdyś błąd. Ten początkowo nie uważał za konieczne, by wracać do tego, co zostało



powiedziane poprzedniego dnia. Rybaka przywitał serdecznie, rozmawiał z nim o pogodzie i cenach ryb, ale udawał też, że te odwiedziny uważa jedynie za wyraz uprzejmości.

*Maaster* Hersebomowi nie odpowiadało to ani trochę, dlatego zaczął napomykać o dręczącej go trosce, potem mówił o szkole pana Malariusza, aż wreszcie postanowił odrzucić krążenie ogródkami.

– Panie doktorze – powiedział, przechodząc wprost do rzeczy – moja żona i ja całą noc rozmyślaliśmy o tym, co wczoraj powiedział pan o małym... Nigdy nie przyszło nam do głowy, że wychowując go jako nasze dziecko, wyrządzamy mu krzywdę...! Pańskie słowa sprawiły jednak, że zmieniliśmy zdanie i chciałbym wiedzieć, co radzi nam pan zrobić, abyśmy nie grzeszyli już niewiedzą... Czy sądzi pan, że mamy jeszcze czas na poszukiwanie rodziny Erika?

– Nigdy nie jest za późno na spełnienie swojego obowiązku – odrzekł lekarz – choć oczywiście wasze zadanie jest teraz o wiele trudniejsze, niż byłoby w pierwszej chwili... Czy zgodzicie się powierzyć tę sprawę mnie? Chętnie ją przyjmę i obiecuję wam zajmować się nią z całą niezbędną energią – pod jednym wszakże warunkiem: że jednocześnie przekażecie mi dziecko, abym mógł je zabrać do Sztokholmu...

Uderzenie pałką spadające na głowę *maaster* Herseboma nie ogłuszyło go bardziej. Zbladł i wyraźnie się zaniepokoił.

– Przekazać panu Erika... wysłać do Sztokholmu...? A to dlaczego, panie doktorze? – zapytał zmienionym głosem.

– Powiem wam... Tym, co w owym dziecku przyciągnęło moją uwagę, oprócz cech fizycznych, które już na pierwszy rzut oka odróżniają go od kolegów, była wielka inteligencja i wyraźne powołanie do dalszej nauki. Jeszcze zanim poznałem wydarzenia, wskutek których utknął w Noroë, powiedziałem sobie, że byłoby zbrodnią pozostawienie równie zdolnego chłopca w wiejskiej szkole, nawet prowadzonej przez takiego nauczyciela jak Malarius – ponieważ nie znajdzie w niej niczego, co mogłoby wspomagać rozwój jego wyjątkowych zdolności, ani muzeów, ani zbiorów naukowych, ani bibliotek, ani dorównujących mu kolegów... To właśnie sprawiło, że wypytywałem o Erika, chciałem poznać jego historię. Już zanim ją usłyszałem, niezmiernie

mocno pragnąłem zapewnić temu dziecku korzyści płynące z otrzymania pełnego wykształcenia... Pojmiecie zatem bez trudu, że gdy tylko posiadałem wiedzę o szczegółach, które mi przekazaliście, jeszcze bardziej utwierdziłem się w podjętym zamiarze. A zadanie, którego skłonny jestem się podjąć dla jego dobra, nie zdoła mnie powstrzymać... Nie muszę wam przypominać, *maaster* Hersebom, że wasz adoptowany syn pochodzi oczywiście z rodziny bogatej i dużo znaczącej. Czyżbyście chcieli, abym zdecydował się, jeśli odnajdę jego krewnych, by oddać im dziecko wychowane na wsi i pozbawione takiego wykształcenia, jakie jest przyjęte w nowym otoczeniu, do którego trafi...? Macie dość zdrowego rozsądku, aby rozumieć, że nie byłoby to słuszne.

*Maaster* Hersebom spuścił głowę. Ani się spostrzegł, jak dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

– Ale przecież – powiedział – byłoby to rozstaniem się z nim na zawsze... Jeszcze nawet zanim dowiedzielibyśmy się, czy małe dziecko znajdzie drugą rodzinę, mielibyśmy wypędzić go z domu...?! Zbyt wiele wymaga pan ode mnie, panie doktorze, zbyt wiele od mojej żony... Chłopiec jest u nas szczęśliwy...! Dlaczego nie zostawić go nam przynajmniej do czasu, gdy zyska pewność, że ma przed sobą lepszy los?

– Szczęśliwy...! Kto może was zapewnić, że także później będzie szczęśliwy...? Kto powie, czy gdy dorośnie, nie będzie żałował, że został uratowany? Inteligentny i przewyższający innych, jaki może się stać, będzie się dusił w życiu, jakie możecie mu stworzyć w *Noroë*, mój drogi Hersebom...!

– Ależ, panie doktorze, to życie, którym pan gardzi, jest dla nas wystarczająco dobre... Dlaczego nie miałyby być i dla malca?

– Nie gardzę nim! – wykrzyknął z oburzeniem uczonec. – Nikt bardziej ode mnie nie podziwia i nie szanuje pracy! Czy myślicie, mistrzu Hersebom, że mogłem zapomnieć, skąd pochodzę...?! Mój ojciec i dziadek byli rybakami tak jak wy! I właśnie dlatego, że byli dość dalekowzroczni, aby dać mi wykształcenie, doceniam w pełni jego dobrodziejstwo i chciałbym je zapewnić dziecku, które na nie zasługuje... Kieruje mną jedynie chęć, by mu pomóc, wierzcie mi...

– Och! Co mogę wiedzieć...? Erik daleko zajdzie, kiedy zrobi pan z niego „jaśnie pana”, który nie będzie umiał pracować własnymi rękoma... A jeśli nie odnajdzie pan jego rodziny, co po dwunastu latach jest bardziej niż prawdopodobne, to zaszkodzimy mu mocno, zamiast pomóc...! Och, panie doktorze, życie człowieka morza jest godne i równe dobre jak każde inne...! Dobra łódź pod nogami, świeża bryza we włosach i cztery lub pięć tuzinów dorsza na końcu sięgających dna wędek sprawiają, że norweski rybak nie obawia się niczego i niczego nikomu nie zawdzięcza...! Mówi pan, że takie życie nie dałoby Erikowi szczęścia? Proszę wybaczyć, że uważam całkiem przeciwnie! Dobrze znam to dziecko...! Uwielbia książki, ale nade wszystko kocha morze! Można by rzec, że czuje, że było przez nie kołysane i wszystkie muzea świata nie dałyby mu pocieszenia, gdyby znalazł się od niego daleko!

– Przecież w Sztokholmie też mamy morze – odpowiedział z uśmiechem doktor, wbrew sobie poruszony tym pełnym uczucia oporem.

– To w końcu czego pan właściwie chce? – zapytał rybak, krzyżując ramiona. – Co pan doktor proponuje?

– Och...! Czy nie widzicie sami, że mimo wszystko czujecie konieczność zrobienia czegoś...? No dobrze, oto moja propozycja. Erik ma dwanaście, niemal trzynaście lat i wydaje się dzieckiem wyjątkowo uzdolnionym. Mało ważne, skąd pochodzi... Pomińmy tę rzecz... Zasluguje, by dać mu możliwość rozwoju i wykorzystywania posiadanych zdolności; na tym właśnie się teraz skupmy. Jestem bogaty i nie mam dzieci. Zobowiązuję się zapewnić mu takie możliwości, dać najlepszych nauczycieli i wszelkie dostępne ułatwienia pozwalające mu czerpać korzyści z pobieranych lekcji... Eksperyment potrwa dwa lata... W tym właśnie czasie wyruszę w podróż, zajmę się poszukiwaniami, będę zamieszczał ogłoszenia w gazetach, poruszę niebo i ziemię, aby odnaleźć rodziców dziecka...! Jeśli nie osiągnę tego w dwa lata, to nigdy już mi się nie uda! A jeżeli rodzice zostaną odnalezieni? Wówczas oczywiście to oni zadecydują o wszystkim, co należy zrobić...! Jeśli zaś ich nie odszukam, odeślę Erika do was! Będzie miał piętnaście lat, zobaczy już świat! Nadejdzie pora, aby powiedzieć mu prawdę o jego narodzinach; będzie mógł wtedy, pole-

gając na naszych radach i na zasadnych ocenach jego nauczycieli, z pełną świadomością podjąć decyzję, jaką drogą chce podążać...! Jeśli postanowi być rybakiem, to nie będę mu się sprzeciwiał...! Jeśli zaś postawi na dalszą naukę, to przypuszczalnie wiele w niej osiągnie, a ja zobowiązuję się dopilnować, gdy ją ukończy, aby mógł wykonywać zawód, który sam wybierze...! Czy to wszystko nie wydaje wam się rozsądne?

– Bardziej niż rozsądnie...! Przez pańskie usta przemawia sama mądrość, panie doktorze! – zawołał *maaster* Hersebom, wyparty ze swoich ostatnich szanów. – Co to naprawdę daje wykształcenie! – dodał, kręcąc głową. – Pozwala łatwo radzić sobie z nieukami...! Trudno mi teraz przyjdzie powtórzenie tego wszystkiego mojej żonie...! Czy rychło zabierze pan małego...?

– Jutro...! Nawet o jeden dzień nie mogę opóźnić mojego powrotu do Sztokholmu.

*Maaster* Hersebom wydał westchnienie, które zabrzmiało podobnie do szlochu.

– Jutro... to już zaraz...! – powiedział. – No cóż! Co ma być, niech będzie...! Omówię to z żoną...

– Słusznie. Poradźcie się też pana Malariususa. Zobaczycie, że podziela moje zdanie.

– Och! Ani trochę w to nie wątpię – odparł rybak z pełnym smutku uśmiechem.

Ucisnął rękę podaną mu przez pana Schwaryencronę i odszedł mocno zamyślony.

Wieczorem, przed porą kolacji, doktor poszedł raz jeszcze do domu *maaster* Herseboma. Podobnie jak dzień wcześniej, jego rodzinę zastał zgromadzoną wokół kominka, ale teraz nie w równie spokojnym i szczęśliwym nastroju. Ojciec siedział dość daleko od ognia, milczący, z próżnującymi rękami. Katrina, mając oczy pełne łez, trzymała mocno dłonie Erika, który z policzkami ożywionymi nadzieją nowego przeznaczenia i oczami zmaconymi rozpaczą z powodu opuszczenia wszystkiego, co kochał, nie bardzo wiedział, któremu uczuciu pozwolić przeważać. Mała Vanda skrywała twarzyczkę złożoną na kolanach rybaka. Widać było jedynie jej długie warkocze barwy srebrnoblond,

które ciężko opadały na jej drobne, zgrabne ramiona. Otto, także poruszony do głębi zbliżającą się rozłąką, siedział bez ruchu obok swojego przybranego brata.

– Jakże jesteście wszyscy smętni i zropaczeni! – zawołał doktor, stanąwszy w progu. – Nie moglibyście okazywać większej rozpacz, gdyby Erik miał właśnie wyruszyć na najdalszą i najbardziej niebezpieczną wyprawę...! Naprawdę nie chodzi o nic podobnego, zapewniam was, drodzy przyjaciele! Sztokholm nie leży na antypodach, a dziecko nie opuszcza was na zawsze! Będzie mogło do was pisać i nie wątpię, że będzie to robiło często! Czeka je tam taki sam los, jak wszystkich chłopców, którzy wyjeżdżają do szkoły średniej. Za dwa lata wróci do was dużo wyższy i doskonale wykształcony, spełniony pod każdym względem! Czy to aż tak wielki powód do rozpaczania...? Naprawdę, nie postępujcie rozsądnie!

Katrina dźwignęła się na nogi z wrodzoną godnością wieśniaczki z północy.

– *Herr doktor*, Bóg świadkiem, że jestem panu ogromnie wdzięczna za to, co robi pan dla naszego Erika – powiedziała. – Proszę nam nie zarzucać, że jego wyjazd napawa nas smutkiem. Hersebom wyjaśnił mi, że to rozstanie jest konieczne. Przystałam na nie. Nie może pan jednak wymagać, abym nie czuła żalu!

– Mamo – zawołał Erik – nie wyjadę, jeśli będzie to dla ciebie zbyt bolesne!

– Nie, moje dziecko – odparła zacna kobieta, ściskając go mocno. – Wykształcenie to dobrodziejstwo, którego nie mamy prawa ci odmawiać...! Idź, mój synu, i podziękuj panu doktorowi, który chce ci je zapewnić, a przykładaniem się do nauki udowadniaj mu nieustannie, że doceniasz jego ogromną dobroć!

– Dość, dość tego! – powiedział doktor, którego okulary zasnuła jakby dziwna mgiełka. – Czyżbyście chcieli sprawić, że ja także się rozczuję...? Porozmawiajmy raczej o sprawach praktycznych... Pojmujecie chyba, że chodzi o wyjazd, który nastąpi jutro z samego rana i że wszystko powinno być gotowe? Mówiąc wszystko, nie mam na myśli tego, że konieczny będzie wielki bagaż. Saniami pojedziemy



Vanda popędziła konia, który ruszył szybkim kłusem, powodując granie dzwoneczków. Powietrze było zimne, a droga twarda jak szkło.

tylko do Bergen, a stamtąd udamy się drogą żelazną. Erik potrzebuje jedynie trochę bielizny, a w Sztokholmie dostanie wszystko, co będzie mu niezbędne...

– Wszystko zostanie przygotowane – zapewniła po prostu pani Hersebm. – Vando – dodała z norweską uprzejmością – pan doktor nadal stoi!

Dziewczynka pospiesznie popchnęła w stronę pana Schwaryen-crony wielki fotel z lakierowanej dębiny.

– Już wychodzę – powiedział doktor. – Malarius czeka na mnie z kolacją... No, *flicka*<sup>1</sup> – dodał, kładąc dłoń na jasnowłosej główce dziecka – czy bardzo się na mnie gniewasz, że zabieram ci brata?

– Nie, panie doktorze – odrzekła z powagą Vanda. – Erik będzie tam szczęśliwszy. Nie jest stworzony do pozostania w wiosce!

– A ty, małeńka, będziesz bez niego nieszczęśliwa?

– Plaża zrobi się pusta – odpowiedziało łagodnie dziecko. – Mewy będą go szukały i nie znajdą. Niebieskie, małe fale będą zadziwione, że już go nie widzą, a dom będzie mi się wydawał pusty! Lecz Erik będzie zadowolony, mając tam książki i z tego, że zostanie uczonym.

– A jego dzielna siostrzyczka będzie się radowała szczęściem brata, prawda, moje dziecko? – zapytał doktor, składając pocałunek na czole dziewczynki. – I będzie z niego dumna, gdy wróci...! No, wszystko już ustalone! Muszę jak najszybciej stąd uciec! Do jutra!

– Panie doktorze – szepnęła nieśmiało Vanda – ja również chciała-bym prosić pana o przysługę.

– Mów, *flicka*!

– Czy nie powiedział pan, że wyrusza saniami? Chciałabym, aby za pozwoleniem ojca i mamy, zgodził się pan, abym was odwiozła do pierwszej stacji poczty<sup>2</sup>.

– Och...! Och...! Rzecz w tym, że umówiłem się już na to z Reg-nild, córką mojego kierownika!

– Wiem o tym właśnie od niej. Zgodziła się ustąpić mi miejsca, jeśli pan raczy pozwolić.

---

<sup>1</sup> *Flicka* (szw.) – dziewczyna.

<sup>2</sup> *Stacja poczty* – dawniej poczta oznaczała także system stacji wymiany koni lub powozów wzdłuż głównych traktów, prowadzonych przez państwo lub osoby prywatne.

– No dobrze, w takim razie wystarczy ci tylko uzyskać zgodę taty i mamy.

– Mam ją.

– A zatem, drogie dziecko, masz i moją – rzekł doktor, odchodząc.

Następnego ranka, gdy wielkie sanie zatrzymały się przed domem Hersebmów, mała Vanda, zgodnie ze swoją prośbą, siedziała na koźle i trzymała lejce. Miała powozić zaprzęgiem do następnej wioski, gdzie doktor wynajmie nowego konia i nową dziewczynkę, i tak kolejno aż do Bergen. Ten nieznanemu mu rodzajowi woźnicy na pewno zaskoczyłyby cudzoziemca, ale jest powszechnym zwyczajem w Szwecji i Norwegii. Według mężczyzn traciłoby oni tylko czas na takie zadania i niezręcznie ciężkie pojazdy powierza się dzieciom w wieku dziesięciu czy dwunastu lat, które umieją powozić nimi z niebywałą łatwością.

Ściśle opatulony w swoje futra doktor siedział już w głębi pojazdu. Erik zajął miejsce obok Vandy, serdecznie uściskawszy ojca i brata, którzy w wyrażaniu rozpaczy wywołanej u nich odjazdem poprzestali na milczącym smutku, a następnie dobrej Katriny, która była bardziej wylewna.

– Żegnaj, mój synu! – mówiła zalana łzami. – Nigdy nie zapominaj, czego nauczyli cię twoi biedni rodzice! Bądź uczciwy i dzielny! Nigdy nie kłam! Pracuj tak dobrze, jak tylko możesz! Zawsze chroń tych, którzy są od ciebie słabsi! A jeśli nie znajdziesz szczęścia, na które zasługujesz, wróć i znajdziesz je u nas.

Vanda popędziła konia, który ruszył szybkim klusem, powodując granie dzwoneczków. Powietrze było zimne, a droga twarda jak szkło. Tuż nad horyzontem blade słońce rozpościerało swój złoty płaszcz na zaśnieżony krajobraz. Po kilku minutach Noroë rozpląnęło się w oddali.





**Chcesz przeczytać dalszą część?**

***Zapraszamy do księgarni!***